

Żyjmy dłużej – pracujmy dłużej¹

Autor: **Jacek Kubisz**

Starzenie się społeczeństwa wiąże się z niebezpieczeństwem niewypłacalności systemu emerytalnego w wielu krajach, nie tylko w Polsce. Często spotyka się wyliczenia wskazujące, że w przeszłości na wypłatę jednego emeryta pracowało kilkoro ludzi, a z czasem, w miarę wzrostu liczby emerytów i spadku przyrostu naturalnego, ta liczba może spaść poniżej dwóch. Pojawiają się rozmaite propozycje uniknięcia kryzysu emerytalnego. Często są to programy mające pobudzić dzietność, takie jak becikowe czy ulgi podatkowe dla rodzin wielodzietnych. Można też zmienić sposób obliczania emerytury, jak to zrobiono w Polsce w 1999 roku. Według nowych zasad dla wysokości świadczeń istotna jest spodziewana długość życia emeryta – im dłuższe, tym emerytura niższa. Taka sytuacja, choć korzystna dla budżetu państwa, grozi bardzo niskim poziomem życia przyszłych beneficjentów, a co za tym idzie – niepokojami społecznymi.



W związku z powyższym polski rząd planuje dokonać kolejnej reformy samego systemu emerytalnego. Ma ona polegać na podniesieniu wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn do 67. roku życia. Opozycja i związki zawodowe sprzeciwiają się temu rozwiązaniu. Duża część społeczeństwa również jest przeciwna. Członkowie rządu bronią reformy, zwracając uwagę na konieczność wydłużenia okresu składkowego dla wyższej, choć późniejszej emerytury. Wśród głosów krytycznych wobec działań rządu częste są te oskarżające o oszczędzanie na emerytach. Oszczędności płynące z podniesienia wieku emerytalnego nie są jednak tak oczywiste, jak może się wydawać. Z jednej strony propozycja pracy do 67. roku życia zakłada dłuższe o parę lat opłacanie składek, z których po części finansuje się obecne emerytury. Z drugiej jednak strony dzięki używanej przy obliczaniu wysokości świadczenia spodziewanej długości życia miesięczne

¹ Autor pragnie podziękować Juliuszowi Jabłeckiemu za cenne uwagi.

wypłaty po 2040 roku mogą stanowić znaczne obciążenie dla przyszłych budżetów, ponieważ będą dużo wyższe. Owo obciążenie może przewyższyć nawet krótkoterminowe korzyści płynące z wydłużenia okresu składkowego. Nie należy zapominać, że zatrudnieni płacą nie tylko składkę na emeryturę. Z ich dochodów są odprowadzane również inne daniny na cele publiczne, choćby ubezpieczenie zdrowotne. Dłuższy okres pracy zatrudnionych mógłby się więc przekładać na dodatkowe wpływy, które istotnie przeważyłyby szalę późniejszych wydatków. Trudno zatem jednoznacznie orzec, czy reforma przyniesie oszczędności, czy odbije się czkawką przyszłym rządowi Rzeczypospolitej Polskiej. Argument obrońców reformy o wyższej emeryturze po 67. roku życia ma pozory troski o obywateli. Wydaje się jednak, że wystarczyłoby wprowadzić możliwość dłuższej pracy dla chętnych, a nie jej obowiązek. Wielu ludzi posiada bowiem dodatkowe źródła dochodów, na wypadek niskiej państwowej emerytury — nawet niektórzy członkowie rządu...

Korzystając z okazji, należy skomentować również propozycje ratowania obecnego systemu przez stymulowanie przyrostu naturalnego. Zamiast się cieszyć, że Polsce nie grozi przeludnienie, niektóre ruchy społeczne i polityczne postulują zachęcanie Polaków do posiadania dzieci różnymi dopłatami czy ulgami podatkowymi. Motywem tych pomysłów jest w znacznej mierze chęć uratowania systemu emerytalnego. Przeciwdziałanie spadkowi liczby płatników składek mogłoby przynajmniej odwlec jego upadek. Niestety, wielu zwolenników tego rozwiązania wydaje się nie pamiętać, że aby utrzymać system, ważni są nie nowi, młodzi obywatele, ale właśnie *płatnicy* — czyli ludzie zatrudnieni, wytwarzający w ramach gospodarki pewną wartość dodaną, którą państwo (konkretnie ZUS) mogłoby obciążyć przymusową daniną (tzw. składką). Problem polega na tym, że młodym Polakom trudno znaleźć pracę. Bardzo prawdopodobne, że przy obecnych warunkach zatrudniania czy prowadzenia działalności gospodarczej pobudzony ogólnie wyż demograficzny zasiliłby raczej szeregi bezrobotnych niż płatników. Biorąc pod uwagę powyższe rozważania, można zauważyć, że źródłem problemu dla systemu emerytalnego w obecnym kształcie jest po prostu nie tylko starzejące się społeczeństwo, lecz także — jeśli nie przede wszystkim — słaby wzrost gospodarczy. Gdyby bowiem ubywaniu liczby płatników na jednego emeryta towarzyszył odpowiedni wzrost realnych dochodów płatników (dzięki wzrostowi ich produktywności), utrzymanie emerytur

na realnie takim samym poziomie nie byłoby problemem. Zarabiający coraz więcej płatnicy byłiby w stanie utrzymać większą liczbę emerytów, płacąc nominalnie takie same składki. Jednak wzrost nie nadaża, m.in. z powodu obciążeń wynikających z systemu ubezpieczeń społecznych. Niestety, nie jest on osamotnionym reliktem myślenia etatystycznego, lecz jednym z filarów wcale nie neoliberalnego (jeśli za neoliberalistów uznać Milтона Friedmana i Friedricha Hayeka) ustroju polskiej gospodarki — co skutkuje także bezrobociem.

Zarówno słaby wzrost gospodarczy, jak i starzenie się społeczeństwa nie byłyby zagrożeniem dla prawdziwie kapitałowego systemu ubezpieczeń emerytalnych (nie społecznych). Taki system łączyłby oszczędzanie na starość z inwestowaniem w gospodarkę. Oszczędności płatników nie zasilająby dzisiejszej konsumpcji beneficjentów systemu, ale przyczyniałyby się do wzrostu gospodarczego. W dzisiejszej sytuacji wprowadzenie takiego systemu wymagałoby prawdziwej reformy na ogromną skalę. Wprowadzenie w III RP Otwartych Funduszy Emerytalnych wydawało się drobnym krokiem w tym kierunku. Jednak zamiast zezwolić funduszom na swobodne inwestowanie składek, nałożono na nie obowiązek utrzymywania dzisiejszych wydatków państwa przez zakup obligacji. Trudno powiedzieć, czy niedawna reforma zatrzymująca transfer środków z ZUS do OFE była krokiem wstecz, czy tylko sposobem zaoszczędzenia części środków i niejako „odkłamaniem” systemu, który był *quasi*-rynkowy. Jakkolwiek na to nie patrzeć, widać brak woli politycznej dla przeprowadzenia dogłębnej reformy systemu, zrywającej z międzypokoleniowym uzależnieniem.